

Liliana Komorowska, polska aktorka w Hollywood

WIERZĘ, ŻE ŻYCIE MNIE JESZCZE ZASKOCZY

– Polkom jest w Hollywood nieco trudniej: masz wysokie kości policzkowe, mówisz ze wschodnim zaśpiewem, dostajesz więc role szpiegów i porywaczek.

ROZMOWA Z

LILIANĄ KOMOROWSKĄ*
aktorką i reżyserką

MARTA GÓRNA: Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy, zaczęliśmy od pandemii.

LILIANA KOMOROWSKA: Cóż, trwa nadal, ale bez wątplenia zeszła na dalszy plan. Wojna w Ukrainie sprawiła, że o koronawirusie już nie pamiętamy. Nie mogę pojąć, jak to możliwe, że w XXI w. jeden dyktator, słusznie nazwany przez prezydenta Bidena zbrodniarzem wojennym, w bestialski sposób decyduje o losach świata.

Angażuje się pani w pomoc Ukrainie?

– Całym sercem. Nie bardzo wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej. Pomoc to cywilny obowiązek każdego z nas. W Kanadzie mieszkam od lat, angażuję się tam w polonijną działalność kulturalną. Kiedy wybuchła wojna, dołączyłam do spontanicznej akcji pomocy uchodźcom ukraińskim na koncercie w Montrealu, na którym udało nam się zebrać 160 tys. dol., a potem prowadziłam koncert zorganizowany przez polską ambasadę w bazylice Notre Dame w Ottawie – tym razem dla pokoju, a gościem honorowym była ambasadorka Ukrainy Julia Kowaliw.

Wraz z moimi znajomymi zamierzamy pomóc też uchodźcom z Ukrainy, którzy chcą przyjechać do Kanady: znaleźć im pracę, pomóc się zaadaptować. Teraz jestem w Warszawie, pakuję paczki w fundacji Ocalenie, przetrząsam szafę w poszukiwaniu ubrań, które oddam.

W 2014 r. wyreżyserowała pani film „Ojcu” o mordzie w Winnicy. Boli panią, że historia się powtarza?

– Nie mogę w to uwierzyć. Wydawało mi się, że potworności wojny już nigdy się nie powtórzą. „Ojcu” to historia o ludobójstwie. W latach 1937-38 NKWD wymordowało na Podolu III tys. Polaków. Historię opowiedziałyśmy – wraz z drugą reżyserką Dianą Skayą – z per-

spektywy człowieka, który zginął: Adama Bandrowskiego. Podstawą scenariusza był wiersz jego córki Aliny, strauatyzowanej przez jego śmierć i to, że nie miał grobu. Kiedy zaczęła się rosyjska inwazja, postanowiliśmy z Dianą wrzucić ten film na YouTube'a do obejrzenia za darmo. Żeby każdy mógł zobaczyć, jak niewiele się zmieniło od stalinizmu do putinizmu.

„Ojcu” było dokumentem fabularyzowanym. Wcześniej wyreżyserowała pani nagrodzony na festiwalu w Montrealu film dokumentalny „Beauty and the Breast” o raku piersi.

– Zrobiłam to dzięki Pierce'owi Brosnanowi. Przyjaźniliśmy się, kiedy kręcił z moim mężem Christianem „Żywy zapalnik” w 1991 r. Ja byłam w ciąży z moim synem Sebastianem, a jego żona Cassandra Harris odchodziła powoli; była ofiarą raka jajników.

Rozmawialiśmy o tym. Przypomniałam sobie wtedy, że moje dwie babcie zmarły na ten sam rodzaj raka. Pierce wręcz zmusił mnie, abym poszła na badania genetyczne do Cedars-Sinai Research Center w Los Angeles.

To doświadczenie ze mną zostało i zmotywowało do nakręcenia filmu o dziewięciu pacjentkach walczących z rakiem piersi. Jestem wdzięczna Pierce'owi za to, że mnie tam wysłał, to była dla mnie ważna lekcja. W tym filmie postanowiłam się skupić na profilaktyce: przypomnieć, że należy się badać. Po premierze podchodziły do mnie kobiety, dziękowały, mówiły, że dzięki temu filmowi zbadały się i żyją.

Pracuje pani nad kolejnym dokumentem – o Andrzeju Wajdzie.

– Uważam ten film za moją artystyczną misję. Pracuję nad nim już od 2017 r., a w 2019 r. do realizacji projektu dołączyli znakomita dokumentalistka Maria Zmarz-Koczanowicz i legendarny operator Jacek Petrycki. Warto jest przypominać o niezwyklej sile witalnej kina Wajdy, które niesie za sobą słowo „wolność”. To dokument o wielkim mistrzu, mentorze dla kluczowych postaci świata



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZAPL

ta filmu. W nakręconym już wywiadzie Martin Scorsese mówi: „Gdy zobaczyłem pierwszy raz »Popiół i diament«, ten film był dla mnie objawieniem. Moje pierwsze filmy były inspirowane dziełami Wajdy do tego stopnia, że w filmie »Ulice nędzy« bohater – Harvey Keitel – nosi ciemne okulary Maćka Chelmińskiego. Użyłem też podobnego oświetlenia, ustawiłem kieliszki na kontuarze baru”.

Łącznie zrobiłam 45 wywiadów i wciąż kręcimy kolejne. Przeszukujemy archiwa, wyciągamy z nich mało znane nagrania, taśmy filmowe, które mistrz latami składał w swoim garażu. Wśród nich są takie perełki jak zdjęcia próbne do filmów, które nie powstały.

Ku swojemu zaskoczeniu na jednej ze szpul 35 mm odnalazłam siebie w pięciu scenach do niezrealizowanego filmu „Motywacje” z Olgierdem Łukaszewiczem. Wzruszyłam się.

Całe życie grała pani w fabulach. Co zrobiło z pani dokumentalistką?

– Jestem zaszufładowana jako aktorka. Stałam za kamerą, a nie przed nią, słucham osób, które mają coś odkrywczego do powiedzenia – to niezwykle cenne. Z moich bohaterów bije prawda, nic nie jest ważniejsze. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy jako aktorka będziesz miała kolejne pięć minut na ekranie, dlatego realizuję się dwutorowo i odkrywam mój potencjał reżyserski.

Miała pani więcej niż pięć minut. Przez kilkanaście lat pracowała pani w USA, później w Kanadzie, a wcześniej grała pani w Polsce – np. w „Austerii”.

– Aktorstwo to najgorszy zawód, jaki można sobie wybrać. Moja córka od razu zastrzegła, że aktorką nie będzie. Twierdzi, że wszyscy za dużo wtedy od ciebie chcą, a ty nigdy nie możesz być sobą, ciągle starasz się zadowolić innych. Nie przepada też za krytyką, a w tej profesji jest się cały czas w jej ogniu. Ciągłe na tapecie, wciąż jesteś koniem, któremu wszyscy zagładają w zęby. Za każdym razem musisz przekonywać, że jesteś najlepsza, że to właśnie ciebie chcą. Nigdy nie możesz się zrelaksować. Chyba że masz na półce rząd Oscarów i wszędzie je ze sobą nosisz, pokazujesz na wejściu.

A to nie świadczy o braku pewności siebie?

– Niepewność to cecha każdego aktora czy aktorki. Jesteśmy wrażliwcami i wykorzystujemy to w swoim zawodzie jako część kapitału.

Jakie ma pani kompleksy?

*Liliana Komorowska

• Aktorka, reżyserka, zaistniała w Hollywood, mieszka w Kanadzie i czasami gra w Polsce. To tutaj zaczęła się kariera pochodzącej z Pomorza aktorki: m.in. od ról

hrabianki Marietty w „Kariery Nikodema Dyzmy” i Jewdochy w „Austerii” Jerzego Kawalerowicza. Świetnie bawiła się na planie produkcji klasy B, choć tuż obok

aktorowi na niby wybuchła głowa. Grywała w filmach z wielkimi gwiazdami: Donaldem Sutherlandem, Peterem Wel-lerem, Dianą Rigg, Wesleyem Snipesem.



– Chyba jedynie na punkcie akcentu. Myślę, że gdybym zaczynała jeszcze raz, tobym się go pozbyła. Polkom jest w Hollywood nieco trudniej niż australijskim czy brytyjskim aktorkom: masz wysokie kości policzkowe, mówisz ze wschodnim zaśpiewem, dostajesz więc role szpiegów i porywaczek. Zawsze grasz czarny charakter. Długo to był mój kompleks, dopóki nie przekulałam go w atut. W Polsce aktorzy mają kompleks Hollywood, trzeba się go pozbyć. Inni przyjeżdżają tam jak po swoje.

A pani po co pojechała?

– Walczyłam o siebie, uciekałam przed stanem wojennym. Myślałam, że „Solidarność” zagwarantuje nam wolność, ale okazało się, że ten czas dla Polski jeszcze wtedy nie nadszedł.

Miała pani plan.

– Czekala na mnie w Nowym Jorku Joasia Pacula, która wyjechała wcześniej. Dzięki niej miałam w USA kontakty, dostałam od razu swoją szansę: numer do nowojorskiej agentki, która reprezentowała słynną modelkę i początkującą jeszcze wtedy aktorkę Andie MacDowell. I przez długi czas czułam się w USA jak w domu.

W Nowym Jorku była enklawa Polaków – Janusz Głowacki, Marek Piwowski, Agnieszka Holland, Zbyszek Rybczyński i Michał Urbaniak, z którym wyswatał mnie wujek ze Szwecji. Ja się akurat wyprztykałam z miłosnych mrzonek i szukałam mieszkania, poznałam Michała i okazało się, że chemii między nami nie da się opanować.

Byliśmy parą jak z filmu „La La Land”: on grał w najsłynniejszych klubach jazzowych w Nowym Jorku, nagrywał z Milesem Davisem, a ja na fali naszej dobrej passy spełniałam się aktorsko, grając w serialach i biegając na przesłuchania. Mieliśmy w mieszkaniu

małą polską ambasadę. Polska przyjeżdżała do nas.

To dlaczego pani wyjechała do Kanady?

– Los tak sprawił. 12 pierwszych lat mojej amerykańskiej kariery spędziłam w Nowym Jorku i w Los Angeles, gdzie po trzęsieniu ziemi 17 stycznia 1994 r. z dwuletnim synkiem i w piątym miesiącu ciąży z córką podjęłam z moim drugim mężem Christianem decyzję o przeniesieniu się do jego rodzinnego Montrealu. Teraz zakochana jestem na zabój w Ryszardzie i jego Toronto, które ma niesamowitą energię.

Los Angeles nie jest krainą mlekiem i miodem płynącą. Trzeba wiedzieć, gdzie jest boczne wejście, być w jakimś klanie albo przykleić się do hollywoodzkiej arystokracji. Pomoże oczywiście występ w świetnym filmie, ale nawet to nie zawsze wystarczy. Talent to często za mało.

Teraz gra pani także w Polsce, np. w serialu „Pajęczyna”. Trudno się po pracy w Kanadzie odnaleźć na polskim planie filmowym?

– Propozycje dostawałam już wcześniej. Kiedy Wojtek Smarzowski realizował „Dom zły”, zaprosił mnie na przesłuchanie. Zobaczył mnie i mówił: „Myślałem, że przyjdzie stara Jewdocha, a ty się w ogóle nie zestarzałaś”. Mogę podziękować moim genom i hollywoodzkiej presji bycia młodą,

• W „Kariery Nikodema Dyzmy” (1980) Liliana Komorowska zagrała hrabiankę Marletę Czarską. FOT. INPLUS/EAST NEWS

Niepewność to cecha każdego aktora czy aktorki. Jesteśmy wrażliwcami i wykorzystujemy to w swoim zawodzie jako część kapitału

choć w takim filmie starą Jewdochę bym chętnie zagrała. Ale wierzę, że jeśli czas dla mnie jako aktorki będzie dalej tak łaskawy, to życie mnie jeszcze zaskoczy.

Kanada to kraj profesjonalistów. Tam wiem, czego się spodziewać. W Polsce często czekają mnie niespodzianki: nie przyjedzie po ciebie samochód albo czekasz bezczynnie dwie godziny na planie. Wszyscy się spieszą, bo harmonogram jest napięty, ale jednocześnie z każdym można porozmawiać. W Kanadzie czy w Stanach Zjednoczonych wielkie gwiazdy są poza zasięgiem. W Londynie grałam m.in. z Dianą Rigg w miniserialu „Mother Love”. W Pinewood Studio, kiedy wchodziła na plan, słychać było latającą muchę, taka była onieśmielająca.

W Polsce jest inna energia. Do występowania tu wróciłam rolą, którą wymyślił dla mnie Michał Kwieciński, producent serialu „Teraz albo nigdy”. Grał w nim Mateusz Damięcki, kolejne pokolenie Damięckich. Z jego ojcem Maćkiem występowałam na deskach Teatru Dramatycznego, a na scenę na plecach wnosił mnie Janusz Gajos. Wracając wspomnienia, łatwiej się adaptuję, przyjaciel poleca przyjaciela. Fajnie być w Polsce. Nagrałam się już ogonów, także u mojego męża, który kochał mnie zabijając.

Mówi pani o byłym mężu Christianie Duguayu, reżyserze „Tajemnicy Syriusza” z Peterem Wellerem, „Żywego zapalnika” z Pierce'em Brosnanem i „Zasad walki” z Wesleyem Snipesem.

– Kiedyś Kiefer Sutherland powiedział mi, że wszyscy, łącznie z nim, mieli kompleksy wobec Christiana na planie. Na głowie miał bandanę, koszulę rozpiętą do pępka. „Jak miałem grać, skoro on skupiał uwagę wszystkich na sobie?” – pytał mnie Kiefer.

Christian był piękny, pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. Ze związku z nim mam dwoje wspaniałych dzieci. Kiedy go poznałam, miał dziewczynę w każdym mieście, a ja sprowadziłam go na ziemię, przekonałam, że dobrze jest gdzieś zacamować. Okazało się jednak, że całe nasze małżeństwo zostało podporządkowane jego twórczej energii, konkurowaliśmy ze sobą. Wolał, żebym grała role drugoplanowe, była w cieniu. Zmęczyło mnie to i w końcu – po 15 latach – się rozstaliśmy. Myślałam, że będziemy jak Federico Fellini i Giulietta Masina lub jak moi rodzice, którzy przeżyli ze sobą 70 lat i kochali wspólną pracę.

Poznaliście się na planie jego filmu „Scanners III”, kontynuacji horroru Davida Cronenberga.

– Mój udział w tym filmie wisiał na włosku. Byłam w Nowym Jorku, inna aktorka dostała rolę. Machnęłam już ręką, pojechałam do Japonii. I nagle zadzwonił mój menedżer, że tamta dziewczyna nie może zagrać, bo nie dostanie na czas kanadyjskiej wizy, a zdjęcia powstawały w Kanadzie. Przesłuchanie miałam przez telefon, rolę dostałam. Imię postaci z powo-

du mojego akcentu zmienili z Elektry na Elenę.

Przegapiła pani kiedyś szansę?

– Wiele razy. Kiedy graliśmy razem w serialu dla NBC „Inny świat”, zaprzyjaźniłam się np. z Johnem Saxonem, który grał w „Wejściu smoka” i „Kosmarze z ulicy Wiązów”. Chciał mi pomóc, przedstawić swojemu agentowi. Umówiliśmy się, kiedy byłam w Los Angeles, w restauracji Hamlet Burger. Pojechałam, ale okazało się, że nie do tej, o którą chodziło jemu, na innej ulicy.

Niepowodzenia sprawiły, że chciała pani rzucić aktorstwo?

– W cholere? I gdzie bym poszła? Jeśli mam do wyboru płacz lub śmiech, to zawsze wybieram śmiech. Wyśmiać, przeczekać, przerobić. Coś z tym zrobić, jakoś wykorzystać. Od moich dzieci uczę się, jak postrzegać świat, jak za nim nadążyć. Ja uczę syna i córkę, że mogą na mnie polegać, ale się nie narzucam. Sama niestety tego nie miałam.

Jak branża traktuje panią, kobiety dojrzałą?

– Kiedy zaczynałam, miałam 26 lat. W Hollywood to sporo i wiele ról przeszło mi koło nosa. Cały czas pracowałam, mój profesjonalizm mnie obronił. Teraz mam dystans.

Jestem w największych związkach zawodowych chroniących prawa aktorów zrzeszonych w amerykańskich i kanadyjskich gildiach aktorskich. Sporo z nas to już weterani, aktorzy na emeryturze. Każdy znajduje swoje miejsce.

SAG, amerykańska gildia, jest najsilniejsza, bo nie pozwala, żeby ktoś wylądował na ulicy. Jest miejsce dla Amerykanów, jest przestrzeń dla mniejszości etnicznych. Kiedyś było inaczej. Kiedy zaczynałam, miałam silny polski akcent, wschodnioeuropejską egzotyczność i musiałam czekać, aż coś adekwatnego się dla mnie pojawi.

Hollywood stawiało wtedy na lokalne gwiazdy i młodość, a dzisiaj jest otwarte na wszystkich. W mediach czytamy, że nie ma ról dla kobiet. A są, ale trzeba mieć po prostu stały kontakt z agentami, chodzić na castingi i cały czas trzymać rękę na pulsie. Teraz zakochałam się we mnie pewna reżyserka z Montrealu, która realizuje zwiadowane, ale sympatyczne komedie.

Na przykład „My Wacko Parents”, pani najnowszy film?

– Właśnie! Reżyserka kocha to, co robi. Patrzy na mnie z taką miłością, że nie mogę jej niczego odmówić. Dlaczego w tym gram? Dla sprawy!

Aktor musi mieć dystans i poczucie humoru. Śmieję się z tego, w czym gram, na planie bawi mnie wszystko. Lubię grać i nie mieć przy tym poczucia, że to sprawa życia lub śmierci. Świat teraz dzięki internetowi stoi przede mną otworem, choćby rolę w „Pajęczynie” zdobyłam online. ●